

Kościół i skandal nadużyć seksualnych

Joseph Ratzinger

Na zaproszenie Papieża Franciszka w dniach od 21 do 24 lutego przewodniczący światowej konferencji biskupów zebrałi się w Watykanie, by obradować w sprawie aktualnego kryzysu wiary i Kościoła; kryzysu doświadczanego na całym świecie, który nadszedł po ujawnieniu szokujących wiadomości na temat nadużyć seksualnych poczynionych przez duchownych wobec najmłodszych.

Zakres i powaga zgłaszanych przypadków głęboko zasmuciły zarówno księży, jak i świeckich oraz spowodowały, że wielu zaczęło wątpić w wiarę Kościoła jako taką. Konieczne stało się więc wysłanie czytelnego sygnału i poszukiwanie nowego początku, by na powrót uczynić Kościół prawdziwie wiarygodnym jako światłość wśród narodów i jako moc w służbie przeciwko siłom zniszczenia.

Ponieważ pełniłem funkcję pasterza Kościoła w czasach wybuchu tego kryzysu i w okresie go poprzedzającym, musiałem zadać sobie pytanie – mimo że jako emeryt nie odpowiadam już za te sprawy bezpośrednio – jaki mógłbym mieć wkład w ten nowy początek? Dlatego po ogłoszeniu spotkania przewodniczących Konferencji Episkopatów zebrałem na piśmie trochę myśli, które mogą dostarczyć pewnych pomocnych wskazówek w tej trudnej godzinie. Po skontaktowaniu się z sekretarzem stanu kardynałem Parolinem i samym Ojcem Świętym uznałem za odpowiednie opublikowanie tego tekstu w „Klerusblatt” [miesięcznik dla kapłanów wydawany w Bawarii – przyp. tłum.].

Moją odpowiedź podzieliłem na trzy części. W pierwszej zamierzam przedstawić w skrócie szerszy, społeczny kontekst omawianej kwestii, bez czego problem trudno byłoby zrozumieć. Postaram się wskazać, że w latach 60. XX w. miały miejsce skandaliczne wyda-

rzenia na niespotykaną dotąd w historii skalę. Można powiedzieć, że w ciągu dwudziestu lat, od roku 1960 do 1980, wcześniej obowiązujące zasady w kwestii seksualności przestały obowiązywać. Nad tą sytuacją starano się w międzyczasie zapanować.

W drugim punkcie ukażę wpływ tej nowej rzeczywistości na formację kapłańską i życie księży.

Na końcu, w części trzeciej, chciałbym naszkicować pewne perspektywy pozwalające Kościołowi odpowiednio zareagować na zaistniałą sytuację.

I

(1) **Problem rozpoczął się wraz z zarządzoną i wspieraną przez państwo edukacją seksualną dzieci i młodzieży.** W Niemczech ówczesna minister zdrowia pani (Käte) Strobel zamówiła film, w którym celem wyjaśnienia przedstawiono to wszystko, co wcześniej nie mogło być pokazywane publicznie, włącznie z aktem seksualnym. Następnie sposób prezentacji tych zagadnień, pierwotnie stosowany wyłącznie w celach edukacyjnych, upowszechnił się i został uznany za pewną oczywistą formę.

Podobne efekty osiągnięte zostały przez tzw. *Sexkoffer*, inicjatywę wprowadzoną przez austriacki rząd [kontrowersyjna „walizka”, używana w austriackich szkołach pod koniec lat 80. XX w., która zawierała materiały edukacyjne na temat seksu – przyp. tłum.]. Filmy erotyczne i pornograficzne stały się wtedy czymś na tyle powszechnym, że były puszczane w dworcowych kinach. Wciąż pamiętam, jak idąc pewnego dnia przez Ratyzbone, zobaczyłem tłum ludzi stojących przed dużym kinem. Był to obraz, który wcześniej widywałem tylko w trudnych czasach wojny, gdy stojąc pod sklepem, oczekiwano na jakiś specjalny przydział. Pamiętam także, że kiedy przybyłem do tego miasta w Wielki Piątek w 1970 r., ujrzałem wszystkie słupy reklamowe obklejone dużymi plakatami dwóch obejmujących się nagich osób.

Jedną ze swobód, o które rewolucja 1968 zamierzała walczyć, była owa totalna seksualna wolność, która nie uznawała już żadnych norm. Z katastrofą duchową ściśle związana była skłonność do stosowania przemocy, z czym w tamtych czasach się zetknęliśmy. To z obawy przed nią na pokładach samolotów zakazano emisji filmów erotycznych, gdyż w niewielkich grupach pasażerów

wywoływały one agresję. Podobny efekt miały ówczesne ekscesy w kwestii ubioru, dlatego dyrektorzy szkół próbowali wprowadzić mundurki, co miało na celu utrzymanie w szkołach atmosfery sprzyjającej nauce.

Jednym z elementów rewolucji '68 było uznanie pedofilii za coś dozwolonego i odpowiedniego. Dla młodych ludzi w Kościele, ale nie tylko dla nich, był to pod wieloma względami trudny czas. Zawsze zastanawiałem się, w jaki sposób młodzież mogła w tej sytuacji podchodzić do kapłaństwa i przyjmować je wraz ze wszystkimi jego konsekwencjami. Pokłosiem tej zmiany zasad stały się w tych latach upadek wchodzącego w kapłaństwo pokolenia księży oraz postępująca laicyzacja.

(2) W tym samym czasie, niezależnie od wspomnianych zjawisk, katolicka teologia moralna doznała kryzysu, który uczynił Kościół bezbronnym wobec zmian społecznych. Postaram się zarysować w skrócie ten proces. Przed Soborem Watykańskim II katolicka teologia moralna opierała się głównie na prawie naturalnym, a Pismo Święte było przytaczane jako tło lub dla wzmocnienia wyводу. Sobór postawił sobie za cel zrozumienie na nowo Objawienia. Dlatego w znacznej mierze zarzucono podejście wpływające z prawa naturalnego i domagano się teologii moralnej opartej wyłącznie na Biblii.

Wciąż pamiętam bardzo utalentowanego ojca Schüllera, którego wykształcił jezuicki wydział na Uniwersytecie we Frankfurcie. Wspaniała dysertacja ojca Schüllera, który miał zamiar rozwinąć koncepcję moralności wpływającą wyłącznie z Pisma Świętego, stanowiła pierwszy krok w kierunku jej stworzenia. Ojciec Schüller został wówczas wysłany do Ameryki na dalsze studia, z których to jednak wrócił z przekonaniem, że z tekstu biblijnego nie sposób wyciągnąć kompletnej koncepcji moralności. Nie mogąc znaleźć odpowiedzi na kryzys moralności, próbował wówczas bardziej pragmatycznego podejścia do teologii moralnej.

Ostatecznie jednak wygrało przekonanie, że jedynie cele ludzkiego działania określają moralność. Chociaż stara fraza „cel uświęca środki” nie została powszechnie uznana za obowiązującą normę, to właśnie ten sposób myślenia stał się dominujący. Nic już nie mogło stanowić absolutnego dobra, jak i absolutnego zła; zostały tylko relatywne sądy. Nie było już Dobra, ale

tylko dobro względne, czyli to, co lepsze w zależności od chwili i okoliczności.

Kryzys podstaw i sposobu prezentacji katolickiej teologii moralnej stał się dramatyczny w późnych latach 80. i potem w latach 90. Piątego stycznia 1989 r. opublikowano Deklarację Kolońską podpisaną przez piętnastu katolickich profesorów teologii. Dotyczyła ona różnych punktów sporu między biskupim urzędem nauczycielskim a zadaniami teologii. Tekst ten, który zrazu wywołał umiarkowane spory, szybko stał się powodem odrzucenia Magisterium Kościoła i zarzewiem globalnego sprzeciwu wobec planowanych tekstów doktrynalnych Jana Pawła II (por. D. Mieth, *Kölner Erklärung*, LThK, VI3, s. 196).

Papież Jan Paweł II, który znał bardzo dobrze sytuację teologii moralnej i dokładnie jej się przyglądał, zlecił pracę nad encykliką, której zadaniem było skierowanie spraw na właściwe tory. Opublikowana 6 kwietnia 1993 r., pod tytułem *Veritatis Splendor*, wywołała gwałtowną reakcję ze strony teologów moralnych. Wcześniej wykładnia nauki o moralności została przedstawiona w przekonujący i usystematyzowany sposób w Katechizmie Kościoła Katolickiego.

Nigdy nie zapomnę, jak czołowy w tamtych latach niemiecki teolog moralny Franz Böckle, który na emeryturę powrócił do swej ojczystej Szwajcarii, ogłosił, że jeśli w encyklice *Veritatis Splendor* znajdą się rozstrzygnięcia, które definiowałyby czyny jako z natury złe niezależnie od okoliczności, to wykorzysta on wszystkie dostępne mu sposoby, by sprzeciwić się takiemu postawieniu sprawy. Na szczęście Miłosierny Bóg zachował go przed wprowadzeniem tego zamiaru w czyn – Böckle zmarł 8 lipca 1991 r.

Encyklika została opublikowana 6 sierpnia 1993 r. i rzeczywiście zawierała sformułowania, że istnieją takie ludzkie działania, które nigdy nie mogą być uznane za dobre. Papież w pełni zdawał sobie wówczas sprawę z wagi tych rozstrzygnięć i ten fragment swojego tekstu konsultował z czołowymi specjalistami, którzy nie uczestniczyli w redakcji całej encykliki. Wiedział bowiem, że nie może pozostawić żadnych wątpliwości co do faktu, iż wynik dociekań moralnych musi respektować pewne nieprzekraczalne granice. Są dobra, które nigdy nie będą przedmiotem kompromisów. Są wartości, które nigdy nie mogą zostać porzucone dla większej war-

tości, nawet takiej jak zachowanie życia. Mamy wtedy do czynienia z męczeństwem. Bóg jest ważniejszy niż przetrwanie fizyczne. Życie, które byłoby okupione zaparciem się Boga, życie, które jest oparte na ostatecznym kłamstwie, jest nieżyciem. Męczeństwo jest podstawową kategorią chrześcijańskiej egzystencji. Fakt, że zdaniem Böckla i wielu innych nie jest już ono konieczne, pokazuje, że sama istota chrześcijaństwa stanęła w ich teoriach pod znakiem zapytania.

Tymczasem w teologii moralnej pojawił się inny naglący problem: popularne stało się twierdzenie, że nauczanie kościelne powinno być ostateczne („nieomyślność”) tylko w kwestiach samej wiary, ponieważ zagadnienia dotyczące moralności nie mogą się stać przedmiotem nieomyślnych decyzji Magisterium. Teza ta jest do pewnego stopnia słuszna i zasługuje na dalszą dyskusję. Niemniej istnieje pewne moralne minimum nierozzerwalnie związane z fundamentalnymi zasadami wiary, które musi być zachowane, jeśli wiara nie ma być zredukowana do teorii, lecz ma znajdować zastosowanie w konkretnym życiu. Wszystko to pokazuje, na jak fundamentalnym poziomie kwestionowany jest autorytet Kościoła w kwestiach moralności. Kto odmawia Kościołowi kompetencji do głoszenia nauki w tych sprawach, zmusza go do milczenia właśnie tam, gdzie spór toczy się o granicę pomiędzy prawdą a kłamstwem.

Niezależnie od tej kwestii w wielu kręgach teologów forsowana była teza, że Kościół nie ma i nie może mieć własnej moralności. Argumentem było to, że wszystkie elementy nauczania dotyczącego moralności mają również swoje odpowiedniki w innych religiach, a zatem nie może istnieć żadne chrześcijańskie *proprium* w tych sprawach. Jednakże obserwacja, że dla każdego zdania Pisma można znaleźć odpowiednik gdzieś w nauczaniu innych religii, nie może być podstawą do zanegowania tezy o unikatowości natury biblijnej moralności. Moralność biblijną należy bowiem traktować w sposób całościowy – jako taka jest ona czymś zupełnie nowym i różnym od swoich poszczególnych części.

Wyjątkowość nauczania moralnego zawartego w Piśmie Świętym ostatecznie wynika bowiem z jego zakotwiczenia w obrazie Boga oraz w wierze w jednego Boga, który objawił się w Jezusie Chrystusie i który żył jako człowiek. Dekalog to sposób na wprowadzenie biblijnej wiary w Boga do ludzkiego życia. Obraz Boga

i moralność stanowią tu całość, stąd też chrześcijańskie podejście do świata i życia ludzkiego jest czymś unikatowym.

Zresztą chrześcijaństwo było opisywane od początku poprzez słowo *hodós* [gr. droga – przyp. tłum.]. Wiara jest drogą i sposobem życia. Katechumenat w starożytnym Kościele był właśnie środowiskiem chroniącym przed coraz bardziej zdemoralizowaną kulturą, w którym ten wyjątkowy i nowy chrześcijański sposób życia mógł być realizowany, a zarazem chroniony przed światowym stylem życia. Myślę, że także dziś coś takiego jak wspólnoty katechumenalne jest koniecznością, by życie chrześcijańskie mogło umacniać się w swojej unikatowości.

II

(1) Długo przygotowywany i wciąż trwający proces rozpadu chrześcijańskiej koncepcji moralności, jak starałem się pokazać, naznaczony został przez wcześniej nieznany radykalizm lat 60. Ten rozpad autorytetu nauczania moralnego Kościoła musiał prędzej czy później wpłynąć na różne sfery jego życia i działalności. W kontekście spotkania przewodniczących Konferencji Episkopatów z całego świata z Papieżem Franciszkiem szczególnie istotne są pytania o sposób życia, zarówno kapłańskiego, jak i w seminariach duchownych. W dyskusji nad problemem przygotowania do posługi kapłańskiej w seminariach nie da się pominąć faktu załamania się dotychczasowych metod formacji kapłanów.

W rozmaitych seminariach powstały homoseksualne kliki, które działały mniej lub bardziej jawnie i znacząco zmieniły klimat tych miejsc. W jednym z seminariów w południowych Niemczech kandydaci na kapłanów i kandydaci do świeckiej służby duszpasterskiej żyli wspólnie. Seminarzyści i świeccy wspólnie spożywali posiłki, ci ostatni czasem w towarzystwie swoich żon i dzieci, a niektórzy także swoich dziewczyn. Klimat w tym seminarium nie sprzyjał przygotowaniu do powołania kapłańskiego. Stolica Apostolska wiedziała o takich zjawiskach, choć nie była o nich dokładnie informowana. Pierwszym krokiem, jaki poczyniono, było zorganizowanie wizytacji apostolskiej w seminariach w Stanach Zjednoczonych.

W wyniku zmian kryteriów wyboru i mianowania biskupów wprowadzonych po Soborze Watykańskim II relacje panujące

między poszczególnymi biskupami i seminarzystami zaczęły się różnić w zależności od miejsca. Jednym z głównych kryteriów wyboru nowych biskupów miała stać się ich „soborowość”, która oczywiście mogła być rozumiana w bardzo różny sposób. W rzeczy samej, w różnych miejscach w Kościele, „soborowy” sposób myślenia rozumiany był jako krytyczne lub negatywne podejście w stosunku do dotychczasowej tradycji, która miała być zastąpiona teraz przez nowy, radykalnie otwarty stosunek do świata.

Jeden biskup, który wcześniej był rektorem seminarium, pozwolił klerikom zorganizować pokaz filmów pornograficznych, aby nauczyć ich przeciwstawiania się zachowaniom sprzecznym z wiarą. Zdarzali się biskupi, i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych, którzy odrzucili w całości katolicką tradycję i starali się w swoich diecezjach stworzyć nowy rodzaj nowoczesnej „katolicyzacji”. Może warto wspomnieć, że w nie tak wcale znikomej liczbie seminariów studenci przyłapani na czytaniu moich książek byli uważani za nienadających się do kapłaństwa. Moje publikacje były ukrywane, niczym zakazana literatura, i czytane tylko pod biurkiem.

Wizytacja, która się wówczas odbyła, nie wyjaśniła sytuacji, najwyraźniej dlatego, że różne siły połączyły się, by ukryć jej prawdziwy obraz. I choć druga wizytacja pozwoliła zebrać więcej informacji, nie zakończyła się żadnymi konkluzjami. Niemniej od lat 70. sytuacja w seminariach poprawiła się w sposób zasadniczy. Mimo to tylko w niektórych miejscach nastąpił wzrost liczby powołań kapłańskich, gdyż rzeczywistość rozwijała się już w zupełnie innym kierunku.

(2) Kwestia pedofilii, o ile dobrze pamiętam, stała się paląca dopiero w drugiej połowie lat 80. Zjawisko to w międzyczasie urosło do rangi problemu publicznego, stąd też amerykańscy biskupi zaczęli szukać pomocy w Rzymie, gdyż prawo kanoniczne, w kształcie, jaki przyjęło w nowym (1983) Kodeksie, wydawało się uniemożliwiać poczynienie stosownych kroków. Rzym i rzymscy prawnicy kanoniczni na początku nie potrafili odpowiedzieć na prośbę amerykańskich biskupów. Zdaniem kurialistów tymczasowe zawieszenie w posłudze kapłańskiej było wystarczające, by doprowadzić do potrzebnego oczyszczenia i wyjaśnienia. Takie rozwiązanie nie mogło być jednak zaakceptowane przez episkopat

amerykański, ponieważ oskarżony ksiądz pozostawał w służbie biskupa, który z tego tytułu także mógł zostać poddany oskarżeniom. Odnowa, polegająca także na doprecyzowaniu sformułowań prawa karnego, które celowo zostało zbyt luźno skodyfikowane w nowym Kodeksie Kanonicznym, dopiero powoli się zaczynała.

Przy tworzeniu nowego prawa karnego pojawił się jednak fundamentalny problem. Wciąż za jedyną doktrynę prawniczą zgodną z Soborem uznawany był gwarancjonizm [rodzaj proceduralnego protekcjonizmu – przyp. tłum.]. Pogląd ten oznaczał przede wszystkim to, że ochrona praw oskarżonego musiała być zagwarantowana w stopniu uniemożliwiającym w praktyce wydawanie wyroków. Wcześniej możliwości obrony teologów w procesach kościelnych były niewystarczające. W reakcji na tę sytuację, właśnie za sprawą gwarancjonizmu, ich prawo do obrony zostało tak rozszerzone, że wyroki skazujące okazały się właściwie niemożliwe.

W tym momencie pozwolę sobie na drobną uwagę na marginesie. Wobec skali pedofilskich wykroczeń na nowo przypominano sobie słowa Jezusa: „Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą, temu byłoby lepiej uwiązać kamień młyński u szyi i wrzucić go w morze” (Mk 9, 42). Słowa te w pierwotnym sensie nie dotyczyły seksualnego wykorzystywania dzieci. Wyrażenie „mali” w języku Jezusa oznaczało prostych wierzących, których wiara mogła zostać narażona na uszczerbek z powodu intelektualnej arogancji ludzi uważających się za mądrych. Te słowa Jezusa są potwierdzeniem, że konieczne jest zagwarantowanie ochrony dobra, jakim jest wiara, poprzez stanowcze sformułowanie sankcji za jego naruszenie.

Współczesna interpretacja tego zdania nie jest sama w sobie błędna, ale nie może zaciemniać jego oryginalnego znaczenia. Zgodnie z tym oryginalnym znaczeniem, a wbrew wszelkiemu gwarancjonizmowi, nie tylko prawo oskarżonego do obrony jest ważne i musi być chronione. Wielkie dobra takie jak wiara są równie ważne. Stąd zrównoważone prawo kanoniczne, zgodnie z całością orędzia Jezusa, nie może zapewniać tylko gwarancji oskarżonemu, którego godność jest dobrem prawnym. Musi ono również bronić wiary, będącej także ważnym dobrem prawnym.

Odpowiednio ukształtowane prawo kanoniczne musi zatem zawierać podwójną gwarancję – prawną ochronę oskarżonego

i prawną ochronę dobra, o którym tu mowa. Jeśli ktoś dzisiaj formułuje taką, wydawałoby się, zrozumiałą koncepcję, to jego rozmówcy pozostają głusi, gdy żąda się od nich odpowiedzi na pytanie o sposób ochrony wiary jako dobra prawnego. Według powszechnego rozumienia prawa wiara nie wydaje się już dobrem wymagającym ochrony. Jest to niepokojąca sytuacja, nad którą pasterze Kościoła muszą się poważnie zastanowić.

Do tych kilku niewielkich uwag na temat warunków formacji kapłańskiej w czasach publicznego wybuchu kryzysu chciałbym dodać jeszcze parę spostrzeżeń na temat rozwoju prawa kanonicznego dotyczącego tej materii. Zasadniczo za zajmowanie się przestępstwami popełnianymi przez księży odpowiedzialna jest Kongregacja ds. Duchowieństwa. Mając jednak na względzie fakt, że w tamtym czasie „gwarancjonizm” w dużej mierze stał się poglądem dominującym, zgodziłem się z Janem Pawłem II, że właściwe będzie przekazanie kompetencji w zakresie tych przestępstw Kongregacji Nauki Wiary. Miały być one rozpatrywane przez nią jako *delicta maiora contra fidem*. Takie ustalenie pozwoliło także na nakładanie najwyższej kary, tj. wydalenie ze stanu kapłańskiego, która nie mogłaby być nałożona na mocy innych przepisów prawnych. Nie był to jedynie wybieg mający na celu umożliwienie nakładania jak najsurowszych kar, ale decyzja odpowiadająca wartości, jaką ma wiara Kościoła.

Przede wszystkim bowiem trzeba uznać, że nadużycia seksualne dokonane przez kapłanów ostatecznie szkodziły Wierze. Do takich przestępstw człowiek zdolny jest tylko wtedy, gdy wiara nie ma już wpływu na jego postępowanie. Ciężka kara wymaga jednak przedstawienia niezbitego dowodu popełnienia przestępstwa – pod tym względem „gwarancjonizm” pozostaje wciąż istotnym sposobem postępowania. Innymi słowy, by móc nałożyć maksymalną karę zgodnie z prawem, wymagany byłby prawdziwy proces karny. Przekraczało to jednak ówczesne możliwości tak diecezji, jak i Stolicy Apostolskiej.

Przygotowaliśmy więc podstawową reformę postępowania karnego, w wyniku której Stolica Apostolska mogła przejąć procesy w tych wypadkach, gdy diecezje czy metropolie nie były w stanie ich przeprowadzić. Zgodnie z przyjętymi zasadami w każdym przypadku proces musiał zostać zrewidowany przez

Kongregację Nauki Wiary, tak by zapewnić ochronę oskarżonego. Ponadto w Ferii V (tj. w zgromadzeniu członków Kongregacji) utworzyliśmy instancję odwoławczą, by umożliwić odwołanie się od wyroku. Wszystkie te procedury przekraczały jednak możliwości organizacyjne Kongregacji Nauki Wiary, co skutkowało opóźnieniami, które nie powinny mieć miejsca ze względu na naturę spraw, którymi się zajmowano. Dlatego Papież Franciszek podjął się dalszych reform.

III

(I) Co musimy zrobić? Może powinniśmy stworzyć nowy Kościół, by wszystko naprawić? No cóż, ten eksperyment został już przeprowadzony i zakończył się niepowodzeniem. Tylko posłuszeństwo i miłość do naszego Pana Jezusa Chrystusa może wskazać nam właściwą drogę. Spróbujmy zatem sami w Kościele na nowo zrozumieć to, czego chciał i chce od nas Pan.

Chciałbym zacząć od rzeczy następującej: gdybyśmy naprawdę chcieli krótko streścić podstawowy przekaz wiary przedstawiony w Biblii, moglibyśmy powiedzieć: Pan rozpoczął z nami opowieść o miłości i chce w nią włączyć całe stworzenie. Nasze zanurzenie w tę miłość jest właśnie źródłem sił do walki ze złem, które zagraża nam i całemu światu. To jest prawdziwa siła przeciwstawiająca się złu. Siła zła pochodzi z naszego odrzucenia miłości do Boga. Odkupiony jest ten, kto zawiera sobie Bożej miłości. Potępienie jest konsekwencją naszej niezdolności do pokochania Boga. Nauczenie się miłowania Boga jest zatem drogą ku odkupieniu człowieka.

Spróbujmy nieco głębiej zastanowić się nad tą zasadniczą treścią Bożego Objawienia. Możemy powiedzieć, że pierwszym i fundamentalnym darem ofiarowanym nam przez Wiarę jest pewność, że Bóg istnieje. Świat bez Boga jest z konieczności światem pozbawionym znaczenia. Skąd bowiem pochodzi wszystko to, co istnieje? Powiedzmy, że nie ma on żadnej duchowej przyczyny. Po prostu istnieje i nie ma ani celu, ani sensu. Nie ma zatem żadnych wzorców dobra i zła. W takim świecie zwycięża to, co jest silniejsze od innych. Siła jest wtedy jedyną zasadą. Prawda się nie liczy, a właściwie nawet nie istnieje. Tylko wtedy, gdy rzeczy mają duchową przyczynę, są chciane i przemyślane – tylko kiedy

istnieje Bóg Stwórcy, który jest dobry i chce dobra – życie człowieka również może mieć sens.

Istnienie Boga – stwórcy i miary wszystkich rzeczy – jest pierwotnym pragnieniem człowieka. Jednak Bóg, który by w ogóle siebie nie wyraził, który by nie dał siebie poznać, pozostałby jedynie domniemaniem i nie mógłby określać formy naszego życia. Aby Bóg był naprawdę Bogiem świadomych stworzeń, musimy oczekiwać od Niego, aby wyraził siebie w jakiejś formie. Czynił tak co prawda na wiele sposobów, ale definitywnie zrobił to, powołując Abrahama i kierując szukającymi Go ludźmi w sposób przekraczający ich oczekiwania: sam Bóg staje się stworzeniem, mówi do nas jako człowiek.

W ten sposób zdanie „Bóg istnieje” ostatecznie zmienia się w naprawdę radosną nowinę właśnie dlatego, że jest czymś więcej niż tylko samym uznaniem faktu. Nowina ta mówi, że Bóg tworzy miłość i Sam nią jest. Uświadomienie na nowo ludziom tej prawdy jest pierwszym i podstawowym zadaniem powierzonym nam przez Pana.

Społeczeństwo, w którym Bóg jest nieobecny – społeczeństwo, które nie zna Go i traktuje jako nieistniejącego – jest społeczeństwem, które traci swą miarę. Powtarza się dziś slogan o śmierci Boga. Gdy Bóg umiera w społeczeństwie, staje się ono wolne – tak nas zapewniano. W rzeczywistości śmierć Boga w społeczeństwie oznacza również koniec wolności tego ostatniego, ponieważ znika sens stanowiący punkt odniesienia. Znika miara wskazująca nam drogę postępowania i umożliwiająca nam rozróżnianie dobra i zła.

W społeczeństwach Zachodu Bóg jest nieobecny w sferze publicznej. Nic w niej nie znaczy. To dlatego w tych społeczeństwach miara ludzkiego istnienia staje się coraz mniej czytelna. Niezwykle rzadko, w niektórych, wyjątkowych sytuacjach nagle okazuje się, zazwyczaj w sposób oczywisty, że coś jest złem i niszczy człowieka. Tak jest właśnie w przypadku pedofilii. Tymczasem całkiem niedawno teoretyzowano na temat jej całkowitej stosowności, co zresztą było przyczyną nasilenia się ekscesów pedofilskich. Zszokowani odkryliśmy, że nasze dzieci i naszą młodzież dotykają rzeczy, które stanowią dla nich wielkie zagrożenie. Fakt, że mogło do nich dojść w Kościele i pośród księży, powinien nas szczególnie niepokoić.

Jak to możliwe, że zjawisko pedofilii osiągnęło takie rozmiary? W ostatecznym rozrachunku przyczyną jest nieobecność Boga. My, chrześcijanie i księża, również wolimy nie mówić o Bogu, bo to wydaje się niepraktyczne. Jeszcze po katastrofie II wojny światowej w Niemczech potrafiliśmy zawrzeć w Konstytucji wyraźne odniesienie do Boga jako do nadrzędnej siły. Pół wieku później odwołanie się w europejskiej Konstytucji do odpowiedzialności przed Bogiem jako do zasady przewodniej było już niemożliwe. Bóg zaczął być postrzegany jako element programu politycznego wąskiej grupy i jako taki nie mógł już stać się fundamentem całej wspólnoty. To zjawisko odzwierciedla proces zmiany powszechnych przekonań społeczeństw zachodnich, w wyniku którego Bóg stał się prywatną sprawą mniejszości.

Pierwsze zadanie, które musi wynikać z moralnego kryzysu naszych czasów, polega na tym, abyśmy sami raz jeszcze zaczęli żyć z Bogiem i skierowali się ku Niemu. Musimy ponad wszystko nauczyć się jeszcze raz rozpoznawać Boga jako fundament naszego życia, a nie odstawiać Go na bok jako niepraktyczny przeżytek. Nigdy nie zapomnę ostrzeżenia, które napisał kiedyś do mnie na jednej ze swych kartek pocztowych wielki teolog Hans Urs von Balthasar: „Nie zakładaj istnienia Trójjedynego Boga, Ojca, Syna i Ducha Świętego, ale ukazuj Go!”. W rzeczy samej także w teologii Bóg jest często brany za pewnik, ale specjalnie nikt się Nim nie zajmuje. Zagadnienie Boga wydaje się tak nierzeczywiste, tak bardzo oddalone od spraw, które nas zajmują. A jednak wszystko staje się inne, kiedy nie zakłada się istnienia Boga, ale ukazuje się Go. Kiedy nie spycha się Boga na drugi plan, ale uznaje się Go za centralny punkt odniesienia naszych myśli, słów i działań.

(2) **Bóg stał się dla nas człowiekiem.** Człowiek jako istota stworzona przez Boga leży mu tak bardzo na sercu, że zjednoczył się z nim i w tak bardzo konkretny sposób wszedł w ludzką historię. Rozmawia z nami, żyje z nami, cierpi z nami i przyjmuje na siebie naszą śmierć. Debatuje się o tym w szczególach za pomocą uczonych słów i myśli. Jednak właśnie wtedy pojawia się niebezpieczeństwo, że uczynimy się „panami” wiary, zamiast się jej poddać i dać się jej przemienić.

Rozważmy to w odniesieniu do kwestii zasadniczej, czyli celebracji Najświętszego Sakramentu. Sposób, w jaki zazwyczaj

obchodzimy się z Eucharystią, musi budzić nasz niepokój. Sobór Watykański II słusznie postawił ten sakrament obecności Ciała i Krwi Chrystusa, obecności Jego osoby, Jego męczeństwa, śmierci i Zmartwychwstania, w centrum chrześcijańskiego życia i samego istnienia Kościoła. Ten proces w jakimś stopniu naprawdę się dokonał i powinniśmy być za niego szczerze wdzięczni Panu.

Powszechnie przeważa jednak inne podejście. Nie dominuje odnowiona cześć dla obecności śmierci i Zmartwychwstania Chrystusa, ale raczej taki sposób obchodzenia się z Nim, który umniejsza wielkość tej Tajemnicy. Spadająca liczba uczestników niedzielnej celebracji Eucharystii pokazuje, jak bardzo my, współcześni chrześcijanie, nie potrafimy docenić wielkości daru, jakim jest Jego Prawdziwa Obecność. Eucharystia jest dewaluowana i staje się pustym gestem. Jako oczywistość przyjmuje się, że kurtuazyjnie udziela się jej wszystkim zaproszonym na rodzinne uroczystości i podczas takich wydarzeń jak wesela czy pogrzeby. Bezrefleksyjność, z jaką w wielu przypadkach ludzie uczestniczący we Mszy świętej przyjmują Najświętszy Sakrament, w gruncie rzeczy pokazuje, że Komunię postrzega się jako pustą ceremonię. Kiedy zastanowimy się, jak poradzić sobie z tym problemem, dojdziemy do wniosku, że nie potrzebujemy innego Kościoła, stworzonego według własnego projektu. Niezbędna jest raczej odnowa wiary w realną obecność Jezusa Chrystusa, ofiarowaną nam w Najświętszym Sakramencie.

Rozmowy z ofiarami pedofilii jeszcze bardziej uświadomiły mi tę konieczność. Młoda kobieta, która była kiedyś ministrantką, powiedziała mi, że ksiądz opiekun liturgicznej służby ołtarza, wymuszając czynności seksualne, używał słów: „To jest ciało moje, które za ciebie będzie wydane”. To oczywiste, że kobieta ta, słuchając słów konsekracji, doświadcza za każdym razem na nowo potwornej męki wykorzystania seksualnego. Tak, musimy pilnie błagać Pana o wybaczenie, a ponad wszystko musimy Bogu zawierzyć i błagać Go, by nauczył nas na nowo rozumieć wielkość Jego cierpienia, Jego ofiary. Musimy zrobić wszystko, by obronić dar, jakim jest Najświętsza Eucharystia, przed nadużyciami.

(3) Na koniec trzeba wspomnieć o misterium Kościoła. Wciąż żywe pozostają słowa, które prawie 100 lat temu wypowiedział Romano Guardini z pełną radości nadzieją, wypełniającą

wówczas go i wielu innych: „Rozpoczął się proces o nieprzewidzianych skutkach; Kościół budzi się w duszach”. Guardini chciał przez to powiedzieć, że Kościół przestał być odczuwany i postrzegany jedynie jako zewnętrzna instytucja biurokratyczna czy autorytet wchodzący w nasze życie, a zaczął być doświadczany jako rzeczywistość obecna w ludzkich sercach – jako coś już nie tylko zewnętrznego, ale poruszającego nas od wewnątrz.

Jakieś pół wieku później, ponownie rozważając ten proces i patrząc na to, co właśnie wtedy działo się naokoło, poczułem pokusę odwrócenia tego zdania: „Kościół umiera w naszych duszach”. Rzeczywiście, dzisiejszy Kościół jest jeszcze bardziej powszechnie postrzegany wyłącznie jako jakaś instytucja polityczna. W praktyce mówi się o nim niemal wyłącznie w kategoriach politycznych – dotyczy to również biskupów, którzy formułują swe koncepcje Kościoła jutra niemal wyłącznie w kategoriach politycznych. Kryzys wywołany przez liczne przypadki przestępstw seksualnych dokonywanych przez duchownych skłania nas do postrzegania Kościoła jako jakiegoś nieudanego przedsięwzięcia, którym powinniśmy się jeszcze gruntowniej zająć i ukształtować na nowo. Kościół uczyniony przez nas samych nie może być jednak źródłem nadziei.

Sam Jezus porównał Kościół do sieci rybackiej, w którą złapano dobre i złe ryby. Bóg na końcu oddzieli je od siebie. Do tego porównania podobna jest przypowieść o Kościele jako polu, na którym dobre ziarno zasiane przez Boga rośnie wraz z chwastami zasianymi potajemnie przez „nieprzyjaciela”. W rzeczy samej chwasty na Bożym polu, w Kościele, wydają się bardzo wybujałe, a złe ryby w sieci są najbardziej widoczne. Nie zmienia to jednak faktu, że to pole uprawne pozostaje Bożym polem, a sieć – Bożą siecią rybacką. W każdym czasie mamy do czynienia nie tylko z chwastami i złymi rybami, ale także Bożym posiewem i dobrymi rybami. Przypominanie z takim samym akcentem o obydwu tych rzeczywistościach nie jest fałszywą apologetyką, ale koniecznym oddaniem sprawiedliwości prawdzie.

W tym kontekście należy odnieść się do ważnego fragmentu z Apokalipsy św. Jana. Diabeł przedstawiony jest w niej jako oskarżyciel, który oskarża naszych braci przed Bogiem dniem i nocą (Ap 12, 10). Apokalipsa odwołuje się zatem do myśli

znajdującej się w centrum kompozycji narracyjnej Księgi Hioba (Hi 1 i 2, 10; 42, 7-16). Napisano w niej, że diabeł próbował fałszywie przedstawić sprawiedliwość Hioba przed Bogiem jako powierzchowną i fasadową. Chodziło tam dokładnie o to samo, o czym pisze Apokalipsa: diabeł chce udowodnić, że nie ma ludzi prawych; że wszelka sprawiedliwość ludzi jest tylko na pokaz. Gdyby tylko uderzyć w człowieka, w jego czuły punkt, blask jego sprawiedliwości szybko gaśnie.

Opowieść w Księdze Hioba zaczyna się od sporu pomiędzy Bogiem i diabłem, w którym Bóg pokazuje Hioba jako naprawdę sprawiedliwego człowieka. Miał on zostać poddany próbie, aby sprawdzić, kto w tym sporze ma rację. Zabierz wszystkie jego dobra i zobaczysz, że nic nie zostanie z jego pobożności, twierdzi diabeł. Bóg pozwala mu na tę próbę, a Hiob wychodzi z niej zwycięsko. Diabeł nie daje za wygraną i mówi: „Skóra za skórę. Wszystko, co człowiek posiada, odda za swoje życie. Wyciągnij, proszę, rękę i dotknij jego kości i ciała. Na pewno Ci w twarz będzie złorzeczył” (Hi 2, 4-5). Bóg daje zatem diabłu drugą szansę. Może również dotknąć skóry Hioba. Nie może go tylko zabić.

Dla chrześcijan oczywiste jest, że Hiob, który stoi przed Bogiem jako wzór dla całej ludzkości, jest Jezusem Chrystusem. W Apokalipsie dramat ludzkości przedstawiony jest w pełni. Bóg Stwórca staje naprzeciw diabła, który oczernia całą ludzkość i całe stworzenie. Diabeł nie mówi tylko do Boga, ale przede wszystkim do wszystkich ludzi: zobaczcie, cóż ten Bóg uczynił. To pozornie dobre stworzenie w rzeczywistości jest pełne nędzy i odrazy. Jednakże oczernianie stworzenia jest tak naprawdę oczernianiem Boga. Diabeł próbuje dowieść, że Bóg nie jest dobry, i chce odwrócić nas od Niego.

Aktualność tego przesłania Apokalipsy jest oczywista. Obecnie w oskarżeniach kierowanych wobec Boga chodzi przede wszystkim o to, aby ukazać Kościół jako coś zupełnie zepsutego. Ostatecznie zaś celem tych oskarżeń jest to, byśmy odwrócili się od Kościoła. Idea, że sami możemy stworzyć lepszy Kościół, jest w rzeczywistości propozycją diabła, który za pomocą swej pokrętnej logiki, której zbyt łatwo ulegamy, stara się nas odwieść od żywego Boga. Nie, Kościół także i dziś nie jest złożony z samych złych ryb i chwastów. Kościół Boży nadal istnieje i nadal jest narzędziem, za pomocą

którego Bóg nas zbawia. To bardzo ważne, by przeciwstawiać się kłamstwom i półprawdom diabła, mówiąc całą prawdę: Tak, grzech i zło są obecne w Kościele. Jednak nadal istnieje święty Kościół, który nie podlega zniszczeniu. Nadal jest wielu pokornie wierzących, cierpiących i kochających ludzi, w których ukazuje się nam prawdziwy, kochający Bóg. Nadal Bóg ma Swoich świadków (*martyres*) w świecie. Musimy być tylko czujni, by ich zobaczyć i usłyszeć.

Słowo męczennik wywodzi się z prawa procesowego. W rozprawie przeciwko diabłu Jezus Chrystus jest pierwszym i jedynym świadkiem wobec Boga, pierwszym męczennikiem, za którym jak dotąd poszła niezliczona liczba osób. Dzisiejszy Kościół jest bardziej niż kiedykolwiek Kościołem męczenników, a przeto świadkiem żywego Boga. Jeśli z uważnym sercem rozejrzemy się i wsłuchamy w otaczającą nas rzeczywistość, będziemy mogli dzisiaj wszędzie pośród zwykłych ludzi, w tym również wśród osób piastujących ważne stanowiska w Kościele, znaleźć takich świadków, którzy reprezentują Boga całym swoim życiem i cierpieniem. To znak oziębłości naszych serc, że nie chcemy ich rozpoznawać. Do jednego z największych i najistotniejszych zadań naszego przepowiadania, o ile tylko mamy taką możliwość, należy tworzenie przestrzeni wiary, a przede wszystkim znajdowanie i rozpoznawanie ich.

Żyję w niewielkiej wspólnotie ludzi, którzy wciąż odkrywają takich świadków żywego Boga w życiu codziennym i chętnie zwracają mi na to uwagę. Dostrzeganie i odkrywanie żywego Kościoła jest cudownym zadaniem, które wzmacnia nas i sprawia, że na nowo cieszymy się ze swej wiary.

Na koniec moich rozważań chciałbym podziękować Papieżowi Franciszkowi za wszystko, co czyni, by pokazać nam, wciąż na nowo, światło Boga, które nie zniknęło, nawet dzisiaj. Dziękuję Ci, Ojczy Świety! ■

Benedykt XVI, Papież senior

*Tłumaczyli Piotr Popiołek i Paweł Grad.
Redakcja wersji polskiej – Marcin Kędziński*